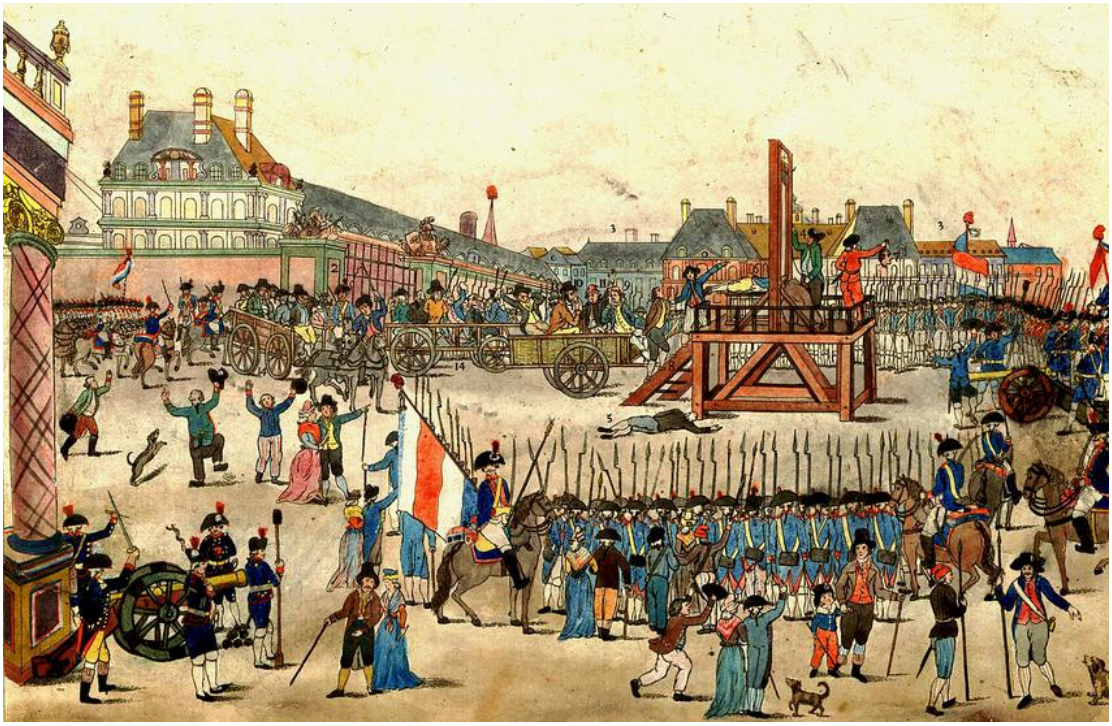
TOŻSAMOŚĆ · ANALIZA

KU PRAWICY JAKOBIŃSKIEJ?

Kacper Kita · 28 lipca 2022



Miniona niedawno rocznica szturmu na Bastylię 14 lipca 1789 roku po raz kolejny przypomniała o wielkiej rewolucji francuskiej – wydarzeniu, które miało ogromny wpływ na kolejne dwa wieki. Na dobrą sprawę wtedy rozpoczęła się nowoczesna polityka, powstały pojęcia prawicy i lewicy, a z religią jako organizatorem społeczeństwa zaczęły konkurować polityczne ideologie. Gdy przyjrzeć się bliżej przełomowi z końca XVIII wieku, nietrudno zauważyć daleko idące analogie między sytuacją wtedy i dzisiaj. Analogie niekomfortowe dla obu stron politycznego sporu.

Od 1789 do 1989

Jeśli chcemy o wielkiej rewolucji rozmawiać na poważnie, pamiętajmy, że nie było czegoś takiego jak jedna ideologia rewolucji. Z różnych nurtów (wokoło)rewolucyjnych silnych na różnych jej etapach wywodzą się lub silnie czerpią jednocześnie socjalizm, komunizm, faszyzm, nacjonalizm, liberalizm – praktycznie każdy nowoczesny nurt polityczny ma tu kogoś „swojego", swoich protoplastów czy ojców założycieli.

Francja 1789 r. była politycznym i kulturowym centrum świata. Wielka rewolucja rozpoczęła w świecie zachodnim dwa burzliwe wieki rywalizacji między siłami starego porządku, „zaczarowanego" świata katolickiego, oraz najróżniejszymi nowoczesnymi ideologiami. Rywalizacji, która – znów, bądźmy uczciwi – była wojną wszystkich ze wszystkimi, i w której przerabiane były najróżniejsze taktyczne sojusze.

Czas między symbolicznymi cezurami 1789 r. i 1989 r. to czas sprawdzania kolejnych ideologii, które miały zastąpić religię i pozwolić stworzyć idealny, sprawiedliwy porządek społeczny już tutaj, na ziemi. Kolejnych „ideokracji" i wcielania siłą wizji wymyślonych przez kolejnych myślicieli i polityków. Wiele z nich było zbrodniczych. Makabryczne zbrodnie wielkiej rewolucji na czele z masakrami w Wandei rozpoczęły epokę ludobójstw, coraz bardziej masowych dzięki rozwojowi technologii.

Ostatnią wielką ideologią tej epoki był oczywiście komunizm – opium tysięcy dwudziestowiecznych intelektualistów. Komunizm był doskonałym przykładem. We Francji – ojczyźnie rewolucji – bardzo długo wiara katolicka i wiara w komunizm oraz Kościół i Partia były dwoma biegunami organizującymi życie społeczne i polityczne. Razem też osłabły, a ich wpływ zanikł w podobnym czasie, co świetnie pokazał wybitny politolog Jérôme Fourquet. Komunizm jednak przegrał, rozczarował. Skok do królestwa wolności nie nastąpił.

Rozkład ZSRR i całego bloku wschodniego rozpoczęła nową epokę. Epokę niekwestionowanej dominacji demokracji liberalnej i Stanów Zjednoczonych. Epokę, w której miały się liczyć wolność jednostki i dobrobyt materialny, a nie wielkie ideologiczne projekty. Zdrowa równowaga między wolnością a równością, korygujące mechanizmy państwa prawa, *checks and balances*, społeczeństwo obywatelskie – wszystkie te zgrabnie brzmiące hasła miały zapewnić spokój Zachodowi i stopniowo promieniować na cały świat.

CZYTAJ TAKŻE: Czy jest co świętować? Narodowiec patrzy na rewolucję francuską

Bunt elit i nowy *ancien régime*

Praktyka okazała się jednak inna. W nowym systemie społeczno-politycznym, w którym słowo „demokracja" stało się największą świętością, zaczęła *de facto* powstawać nowa arystokracja. Rafał Ziemkiewicz mówi tu o liberalistokracji. Dariusz Karłowicz o funkcjonalnej arystokracji demokracji liberalnej. Fakty są proste – mechanizmy korygujące, które miały powstrzymywać jedynie ekstremizm i masowe mordy, które miały powstrzymywać dojście do władzy nowego Hitlera, zaczęły być coraz bardziej nadużywane.

Realna władza zaczęła wyciekać coraz bardziej z rąk obywateli, a wkrótce także z rąk ich wybieralnych reprezentantów odpowiedzialnych przed nimi podczas wyborów. Realna władza zaczęła przenosić się w ręce wielkiego biznesu i świata finansów, organizacji międzynarodowych, sądów i trybunałów, mediów i ich właścicieli. Politycy zachodni zaczęli być coraz częściej jedynie bezbarwnymi administratorami, nieróżniącymi się między sobą w kwestiach programowych, reprezentującymi interesy nowych arystokratów bardziej niż obywateli.

Zmarły w 1994 r. – już prawie 30 lat temu! – Christopher Lasch w ostatnich miesiącach życia dokończył głośną książkę *Bunt elit i zdrada demokracji*, wydaną już pośmiertnie. Lasch definiował elity jako ludzi, którzy „kontrolują międzynarodowy przepływ pieniędzy i informacji, szefują fundacjom i instytucjom szkolnictwa wyższego, zarządzają instrumentami produkcji kultury i w ten sposób ustalają zasady debaty publicznej (tłumaczenie tu i dalej własne, z angielskiego oryginału)". Według Lascha te elity „utraciły wiarę w wartości Zachodu, a przynajmniej to co z nich pozostało". Amerykanin pisze: „Dla wielu osób samo pojęcie 'zachodnia cywilizacja' kojarzy się obecnie ze zorganizowanym systemem dominacji, którego celem było narzucanie dostosowywania się do burżuazyjnych wartości oraz trzymania w permanentnym stanie podporządkowania ofiar patriarchalnej opresji – kobiet, dzieci, homoseksualistów, kolorowych".

Przez 30 lat analiza Lascha tylko zyskała na aktualności. Demoliberalne elity uważają za swoją misję sys-

temowe wmawianie poczucia winy milionom Europejczyków i Amerykanów. Do tego służy ogromna część zajęć w szkołach i na uniwersytetach, treści w mediach, utworów popkultury. W przypadku naszego kraju z braku zbrodni wojennych, kolonializmu, niewolnictwa czy rasizmu Polakom wmawia się, że ich przeszłość sprowadza się do antysemityzmu oraz prześladowania kobiet i „osób nieheteronormatywnych" przez demoniczny katolicyzm. Ostatnio wraz z intensyfikacją ataków na chrześcijaństwo pojawia się też motyw winy Polaków, jaką było zaniesienie opresyjnego chrześcijaństwa na Litwę i Prusy.

Pedagogika wstydu w swojej polskiej specyfice wykorzystuje stare kompleksy wobec potężnego, wspaniałego, bogatego Zachodu, którego nigdy nie czuliśmy się pełnoprawnym członkiem. Kompleksy w przypadku Niemiec, doświadczenia zaborów i zbudowanych po 1989 r. ogromnych niemieckich wpływów politycznych i gospodarczych w Polsce wyraźnie przypominające traumę postkolonialną. Zbuntowane elity w przewrotny sposób przedstawiają siebie i swoją ideologiczną agendę jako reprezentujących oświecony Zachód przeciwko zacofanej polskiej hołocie, choć w praktyce owa „europeizacja" Polski ma oznaczać systemowe tępienie pozostałości historycznej zachodniej cywilizacji z jej chrześcijańskim i klasycznym dziedzictwem.

Nowa religia w miejsce chrześcijaństwa i secesja elit

Ta walka o „europeizację" Polski stała się zastępczą religią, legitymizującą władzę zbuntowanych, kompradorskich elit. My dajemy wam poczucie bycia częścią Europy (coś dla ducha) i ciepłą wodę w kranie (coś dla ciała) – wy oddajecie nam pełnię władzy. Podobne zjawisko widzimy jednak w całym świecie zachodnim. Ostatecznie „europeizacja" Polski miała być częścią większej całości. Teoretycznie nastawiona na spokojną konsumpcję aideologiczna rzeczywistość po 1989 r. szybko zaczęła być bowiem targana kolejnymi sporami o kolejne, „odkrywane" przez arystokratyczną kastę Wybrańców generacje praw człowieka. Każda kolejna generacja miała tym lepiej zapewniać przetrwanie ideału pluralizmu i różnorodności – jedynej Prawdy, jaka pozostała po zdekonstruowaniu wszystkich prawd przez postmodernizm i pokrewne ruchy nowej lewicy.

Hasła takie jak „różnorodność" czy „multikulturalizm", ale w ogóle wszystko uznane za „prawo człowieka" (np. prawo do zabicia dziecka nienarodzonego czy prawo do swobodnego osiedlania się dowolnej liczby pozaeuropejskich imigrantów w wybranym kraju) zaczęło być traktowane z religijnym namaszczeniem. Jako prawdy wiary, których nie wolno podważać, jeśli chce się pozostać pełnoprawnym obywatelem. Dla heretyków nie ma miejsca na uczelniach, na stanowiskach pracy czy w mediach społecznościowych.

Oczywiście liberalno-progresywna rzeczywistość nie stworzyła nigdy spójnego zestawu wierzeń analogicznego do katolickiej moralności, która konstytuowała społeczną rzeczywistość sprzed wielkiej rewolucji. Nie ma jednego nowego Dekalogu czy nowej Biblii. Postmoderniści czy twórcy szkoły frankfurckiej z zasady starali się unikać zbyt precyzyjnego pisania o programie pozytywnym. Przede wszystkim bali się powrotu opresyjnej przeszłości i prób ustalenia jakiejkolwiek Prawdy jako fundamentu społeczeństwa.

> **Ich religia w przeciwieństwie do katolicyzmu jest religią fideistyczną, nie rozumową. Opiera się głównie na mistycznej wierze w możliwość nieograniczonej przemiany świata i siebie samej przez jednostkę oraz na paranoicznym lęku przed nawrotem „opresyjnej" przeszłości.**

Oddzielenie się elit od społeczeństwa – podobnie jak w przypadku arystokracji z czasów sprzed 1789 r. – występuje nie tylko w sferze wartości i politycznej, ale również tej *stricte* materialnej. Przewaga garstki najbogatszych nad resztą stale rośnie. Mimo wszystkich sloganów o inkluzywności na najlepsze amerykańskie czy francuskie uczelnie coraz trudniej dostać się dzieciom z uboższych rodzin. Ostatnie kilkadziesiąt lat nasiliło także zjawisko mieszkalnego oddzielania się nowej arystokracji od reszty kraju. Jak pokazał w jednej ze swoich książek Charles Murray, w 2004 r. 61% absolwentów Harvard Business School sprzed 25 lat mieszkało w 5% najbogatszych amerykańskich dystryktach pocztowych (SuperZips), a spośród tego 61% większość mieszkała w 1% najbogatszych. Dla wszystkich 15 tysięcy absolwentów trzech najbardziej prestiżowych uczelni (Harvard, Yale, Princeton) z przebadanego rocznika 44% mieszkało w 5% najbogatszych dystryktów a 74% w 20% najbogatszych.

Dystrykty dla najbogatszych nie są przy tym rozsiane równomiernie po całych USA – tylko 8% spośród przebadanych absolwentów Harvard Business School którzy zajmują ważne stanowiska w świecie biznesu, mediów lub polityki mieszka w skupisku trzech lub mniej „superdystryktów" (dystryktów należących do 5% dla najbogatszych – skupisku, czyli zbiorze „superdystryktów" sąsiadujących z innym „superdystryktem"). Statystyczny absolwent mieszka w skupisku liczącym 18 „superdystryktów". Dla wszystkich absolwentów Harvarda, Yale lub Princeton to 13% i średnie skupisko 14 „superdystryktów". Niecała połowa wszystkich mieszkających w „superdystryktach" mieszka w czterech miastach – Waszyngtonie, Nowym Jorku, Los Angeles lub San Francisco. Polityczni reprezentanci tych najważniejszych skupisk amerykańskiej elity są zdecydowanie lewicowi – 64% z wybranych przez nich posłów i senatorów głosuje w 91-100% przypadków zgodnie z linią lewicy (według ocen lewicowego think tanku Americans for Democratic Action), a tylko 10% z nich głosuje w 91-100% zgodnie z linią prawicy. Podobne procesy oddzielania się przedstawicieli elity od reszty społeczeństwa opisał dla Francji wspomniany już Jérôme Fourquet we *Francuskim archipelagu*.

Członkowie nowej arystokracji są w stanie skutecznie prowadzić życie zupełnie inne od reszty społeczeństwa. Mieszkają w dzielnicach, w których znacznie niższe są poziomy przestępczości i imigracji spoza Europy. Jak zwracał uwagę Lasch już w 1994 r., nowe elity stały się praktycznie niezależne od usług publicznych. Swoje dzieci mogą posyłać do prywatnych szkół, sobie i rodzinom zapewniać prywatną opiekę medyczną, a nawet zatrudniać prywatne firmy ochroniarskie na wypadek problemów z przestępczością. Mogą też – podobnie jak stara arystokracja – krzyżować swoje dzieci między sobą. To im się po prostu opłaca ze względu na akumulację kapitału i wpływów. Lasch pisze: „Wielu z nich przestało myśleć o sobie jako o Amerykanach w jakimkolwiek istotnym sensie". Przestali być „zamieszani/zaangażowani" (*implicated*) w „dolę/przeznaczenie' (*destiny*) Ameryki. Wyższy lub niższy poziom usług publicznych nie robi im różnicy. Tym bardziej, że na prywatnego lekarza, szkołę czy zajęcia dodatkowe dla dziecka nie stać głównie tych „gorszych", którzy „nie poradzili sobie", a więc są sami sobie winni.

Lasch zwraca też uwagę, że w ciągu kilku dekad doszło do ujednolicenia elit politycznych, finansowych, artystycznych i medialnych. Zatarły się granice między politykami, ludźmi biznesu i finansjery, celebrytami i dziennikarzami. Często pochodzą oni wszyscy z tych samych środowisk i wspierają się nawzajem. Współcześnie warto do tego zestawu dodać sporą grupę zaangażowanych politycznie sędziów. O roli sądownictwa i sędziach konstytucyjnych jako kapłanach demoliberalizmu pisałem więcej w jednym ze swoich poprzednich tekstów.

CZYTAJ TAKŻE: Wielka klęska letniości

Wszyscy oni wspierają się nawzajem, legitymizując demoliberalny system polityczny i stygmatyzując jego krytyków. Wszyscy angażują się w głoszenie tej samej parareligii uzasadniającej dzierżenie władzy przez „ekspertów" i „autorytety".

Nowa arystokracja kontra stara arystokracja

Bunt elit był nawiązaniem do *Buntu mas* José Ortegi y Gasseta z 1929 r. Hiszpański autor przestrzegał wówczas przed zdominowaniem elit przez zbuntowane masy. Za główną zaletę ówczesnych elit Ortega uważał gotowość do wzięcia na siebie odpowiedzialności za stawianie wymagań i społecznych standardów, bez których cywilizacja jest niemożliwa. Stare elity żyły w służbie wymagających ideałów. „Szlachectwo jest zdefiniowane przez zobowiązania nałożone na nas – przez zobowiązania, nie przez prawa". Człowiek z mas miał natomiast nie rozumieć idei trwałego zobowiązania i być wykorzeniony. Obce miało mu być „poczucie historycznych powinności".

> **Lasch uważa, że dzisiaj sytuacja się odwróciła. To masy zachowały zdrowy rozsądek i odruchowe poczucie ograniczoności swoich możliwości. A równocześnie zachodnie elity odpłynęły, odcięły się od przeszłości i nabyły przekonania o własnej wszechmocy.**

Zdaniem Lascha dziś to masy lepiej rozumieją, że „istnieją nieusuwalne ograniczenia ludzkiej kontroli nad społecznym rozwojem, nad naturą, nad ciałem". Demoliberalna arystokracja nie ma w sobie zdrowego konserwatyzmu ani sceptycyzmu wobec własnych możliwości – przeciwnie, bardzo częsty jest wśród niej sposób myślenia dzieci, które chciałyby, żeby wszyscy byli dla siebie mili, nie było wojen tylko dialog oraz nie było murów tylko mosty. Zdziecinnieniu elit współczesnego Zachodu poświęciłem osobny tekst rok temu, po spotkaniu Joe Bidena i Władimira Putina w Genewie.

Zdaniem Lascha klasyczna arystokracja obok licznych przywilejów posiadała poczucie zobowiązania wobec wspólnoty. Jej członkowie mieli głęboko wdrukowane przekonanie, że swoją pozycję zawdzięczają pokoleniom przodków, a otrzymane dziedzictwo mają przekazać kolejnym pokoleniom. Arystokracja demoliberalna składa się z ludzi przekonanych, że swoją pozycję zawdzięczają wyłącznie sobie. Przy każdej okazji podważają udział pochodzenia czy koneksji w swoim sukcesie. Uważają, że mają moralne prawo do całkowicie arbitralnego rozporządzania tym, co mają.

Chcę przy tym podkreślić, że absolutnie nie jest moim celem tutaj idealizowanie „starych elit". Gdyby arystokracja w XVIII wieku czy stare elity na początku XX wieku były aż takie cnotliwe i kierowały się poczuciem obowiązku, nie doszłoby do rewolucji ani buntów, które doprowadziły do ich obalenia. Nie zależy mi też na wykazywaniu, że obecne elity są w ten czy inny sposób gorsze niż katolickie elity „starej Francji". Na ile *noblesse oblige* (szlachectwo zobowiązuje) rzeczywiście funkcjonowało? Pozostawiam to pytanie historykom i pasjonatom. To kwestia drugo-, jeśli nie trzeciorzędna z punktu widzenia współczesnej polityki.

Możliwe, że Lasch przecenia różnice między obecnymi a starymi elitami. Nie ma to znaczenia dla mojego zasadniczego wniosku. Wniosek ten jest prosty. Współczesne zachodnie elity to środowisko monopolizujące władzę polityczną, finansową i kulturową. Środowisko zdominowane przez ludzi wrogich wartościom narodu, rodziny i religii oraz dorobkowi historycznej cywilizacji zachodniej. Jeśli chcemy się agen-

dzie funkcjonalnej arystokracji skutecznie przeciwstawić, musimy zrozumieć, że jesteśmy dziś na pozycjach funkcjonalnych jakobinów. Co to oznacza w praktyce? O tym w kolejnych moich tekstach.

fot: kronikidziejow.pl

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/ku-prawicy-jakobinskiej/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć